

Szalona monografia Muzeum Sztuki w Łodzi

Monografia będzie liczyć około 700 stron. Jest poświęcona historii Muzeum Sztuki oraz ludziom, którzy przez lata je tworzyli i rozwijali. Zawiera fakty, daty, ważne nazwiska, ale także mnóstwo smacznych ciekawostek.

- Chciałem, aby był to barwny reportaż. Postawiłem sobie za cel opisać... wszystko, zajrzeć wszędzie. Znaleźć rzeczy, których inni badacze dotąd nie odkryli. Udało mi się dotrzeć do całkiem sporej liczby takich smaczków - mówi Maciej Cholewiński, absolwent socjologii na Uniwersytecie Łódzkim, który od ponad 20 lat pracuje w Dziale Dokumentacji Naukowej Muzeum Sztuki.

Książka będzie zatytułowana „Szalone muzeum”. - Szalone, ponieważ Marian Minich, historyk i krytyk sztuki, pierwszy dyrektor Muzeum Sztuki, napisał wspomnienia zatytułowane „Szalona galeria”. To jego świadectwo o czasie, w którym zarządzał placówką. Moja książka jest rozwinięciem myśli Minicha - tłumaczy autor.

Monografia została podzielona na trzy części. - Żeby zrozumieć fenomen muzeum, trzeba znać tło. Dlatego odmalowuję portret epoki. Opisuję, co działo się w Łodzi, przywołuję ważne wydarzenia historyczne - opowiada Maciej.

Przykład? W przededniu wybuchu pierwszej wojny światowej w Łodzi największym zmartwieniem była olbrzymia ulewa i to, że panie wracały z lotnisk przemoczone do suchej nitki. Nikt nie zdawał sobie sprawy z tego, co miało nadejść.

Druga część to opowieść o łódzkiej sztuce, prezentacja wystaw, wernisaży, sporów, skandali, sylwetek artystów. - Pozwala to poznać kontekst, uświadomić sobie, w jakim momencie historii sztuki narodziło się nasze muzeum i jak inną od wszystkich było instytucją - mówi Maciej Cholewiński.

Trzeci wątek to historia samego muzeum opowiadana niemal kronikarsko, dzień po dniu. Całość jest podzielona na dekady, aby łatwiej było poruszać się po meandrach opowieści. „Szalona galeria” Minicha była punktem odniesienia, ale też cennym źródłem informacji o muzeum.

- Marian Minich kierował nim w kilku epokach. Zaczął jeszcze w latach 30. i swoją misję prowadził do końca swojego życia, do lat 60. To on sprawił, że Międzynarodowa Kolekcja Sztuki Nowoczesnej grupy „a.r.”, przekazana przez Władysława Strzemińskiego, stała się zalążkiem muzeum, jakie znamy dziś. Ale musiał się sporo nagimnastykować, aby ocalić te dzieła. Bo już przed wojną były plany, żeby je zamknąć w magazynie. Później odtwarzał to, co zniszczyli lub rozkradli w czasie wojny Niemcy, a po wojnie bronił przed komunistami. Sporo ryzykował, musiał więc odznaczać się wybitnymi zdolnościami dyplomatycznymi. We wszystkich tekstach, które pisał po wojnie, widać, że ostrożnie dobierał słowa. Bo tylko czekano na pretekst, żeby zakneblować muzeum. Minich wykazywał się zręcznością i odwagą oraz wykorzystywał różne znajomości. Wiem, że stawiam tezę karkołomną, ale podejrzewam na podstawie pewnych zdarzeń opisanych w mojej książce, że na przykład Mieczysław Moczar był osobą, która mogła mu gwarantować bezpieczeństwo - opowiada Maciej Cholewiński.

Wiąże się z nim jedna z opisanych w książce anegdot. - Córka Mariana Minicha, nieżyjąca już pani Agnieszka Minich-Scholz, opowiedziała mi, w jakich okolicznościach poznała polityka. Kiedy miała dziesięć lat, ojciec zabrał ją na wernisaż, w trakcie którego podszedł do niej Moczar i zapytał: „Jak

masz na imię?” „Agnieszka” – odpowiedziała córka dyrektora. „A ja Mietek” - przedstawił się dygnitarz. Proszę sobie wyobrazić, że ktoś do Moczara, postaci ponurej, mówi „Mietku”! - relacjonuje Maciej i dodaje, że Marian Minich miał umowę z rodziną, że gdyby coś mu się stało, gdyby podejrzani mężczyźni w tajemniczych samochodach zabrali go w nieznanym kierunku, to jest telefon, pod który trzeba zadzwonić. - Podejrzewam, czyj to mógł być telefon. I w żadnym wypadku nie twierdzę, że dyrektor Minich bratał się z tym dygnitarzem. On po prostu zdawał sobie sprawę z tego, że nadrzędnym celem jest ocalić kolekcję przed barbarzyńcami. Co mu się zresztą udało.

Praca nad książką, zbieranie materiałów i pisanie, trwała w sumie sześć lat. Punktem wyjścia było przebogate archiwum autora. - Ponieważ pisuję o sztuce, pracuję w muzeum, opracowuję zbiory, mam dostęp do informacji. Zbieram je namiętnie. To także mój konik. Mam na przykład blisko 50 tysięcy biogramów polskich artystów i ciągle napływają nowe - zdradza Maciej. - Mam też zbiór chyba wszystkich wycinków prasowych poświęconych łódzkiej sztuce od 1884 roku do lat 50. XX wieku.

Jedno z najciekawszych odkryć to artykuł Mieczysława Wallisa "Musée Municipal à Łódź", zamieszczony w „Pologne Littéraire” w 1936 roku. Zaprezentowane są w nim muzea Krakowa, Warszawy, Wilna, Lwowa. Jest też cała strona wypełniona reprodukcjami dzieł kolekcji grupy „a.r.” z Łodzi. - Na tym tle widać z całą ostrością nieprawdopodobny kontrast, całkowicie nową artystyczną rzeczywistość, jaką wtedy proponowała Łódź - mówi Maciej Cholewiński.

Z zebranych materiałów wynika też między innymi, że dobrym duchem muzeum był Władysław Strzemiński. Miał dar wychwytywania nowych prądów w sztuce i odkrywania genialnych artystów. - Potrafił przewidzieć, co jest ważne, wyczuć, kto jest wybitny na podstawie szczątkowych informacji. Oczywiście interesował się sztuką na bieżąco, utrzymywał kontakty z wieloma artystami, prowadził z nimi korespondencję, ale musiało mu wystarczyć kilka słów, czasem reprodukcja w jakimś czasopiśmie. Mimo to wiedział, że to jest to. Wtedy traktowano sztukę nowoczesną jako dziwactwo, ale już po kilku latach okazało się, że szerzej nieznani przedtem artyści nagle stali się klasykami.

W poszukiwaniu informacji trzeba było czasem przedrzeć się przez niebagatelną liczbę książek. Na przykład zapomnianego już dziś Jerzego Putramenta. - Czytałem jego „Pół wieku”, bo ponoć zamieścił w nim opis, jak Strzemiński zrobił dekorację pierwszomajową w 1940 roku. Przedzierałem się przez bodaj siedem tomów, ale go nie wychwyciłem. Znalazła go dopiero studentka ze Stanów, Polka, która pisała pracę o Strzemińskim. Wymieniliśmy się informacjami - opowiada autor monografii.

Takie szczęście dopisało mu kilka razy. - Przyszedł do mnie znajomy pochodzący z Koluszek Mateusz Jaśkiewicz, regionalista, miłośnik historii, kopalnia informacji. Pisał pracę o koluszkowskich tropach Kobro i Strzemińskiego. Sprzedał mi świetną historię. Kiedyś dziadek go spytał, o kim tak pisze. Gdy usłyszał, że o Strzemińskim, zapytał: To był taki nauczyciel bez ręki i nogi? Mieszkał niedaleko i rodzice zostawiali nas pod jego opieką, jak szli pracować na kolei. Dom przy ul. Słowackiego 1/3 w Koluszkach jest obiektem zainteresowania wszystkich, którzy zajmują się biografią Strzemińskiego. Ale z rozmowy wyszło, że Strzemiński i Kobro mieszkali w nim bardzo krótko. A tak naprawdę parę numerów dalej - mówi Maciej.

Koluszkowskie znajomości kolegi pozwoliły też poznać bezcenne zdjęcie Katarzyny Kobro, która w letni dzień gra z koleżankami, być może sąsiadkami, w karty. Panie siedzą w ogródku. Inne odkrycie „dopadło” autora w muzeum. Na dziedziniec przyszli ludzie, którzy koniecznie chcieli porozmawiać z którymś z pracowników. - To byli przemili państwo pochodzący z Essen. Pan Hage twierdził, że w czasie wojny mieszkała tu jego rodzina i wskazał na drugie piętro, gdzie dziś jest Sala Neoplastyczna. Na dowód wyciągnął kopie zdjęć z ich dawnego mieszkania. Sala była na nich

mieszczkańskim salonem. Tego nikt poza mną w Polsce nie widział. Pan Hage twierdził, że przyjechał między innymi po to, żeby dać je komuś, kto interesuje się historią miejsca. I trafił na mnie - cieszy się Maciej Cholewiński.

Mężczyzna dodał jeszcze coś, po czym zapadła długa cisza. Okazało się, że jego rodzina miała podczas wojny sąsiada, przed którym rodzice ostrzegali dzieci, bo był w SS. - Twierdził, że był to Johann Schwarzhuber, jeden z komendantów obozu koncentracyjnego Auschwitz-Birkenau - mówi Maciej Cholewiński.

Kiedy monografia ukaże drukiem? - Jest plan, aby stało się to jak najszybciej - odpowiada dyplomatycznie autor.